Tom III. 1. Stycznia 1871. Nr. 1.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

W Imię Boże!

Chwała Bogu! już Rok Nowy
Zawitał na naszą ziemię;
Podnieś ludku w górę głowy,
Niech smutku opadnie brzemię!

Z silną wiarą w lepsze czasy
I „Dzwonek“ dźwięczy wesoło,
Ponad góry, po nad lasy,
Witając chatkę i sioło.

Temu siołu i tej chacie
Chce głosić wszelkie życzenia,
Szczerość naszą dawno znacie
Ona się dla Was nie zmienia.

Z Nowym Rokiem — życie stare
Porzućcie bracia Wieśniacy,
Miłość, zgodę, polską wiarę
Do Waszej przyłączcie pracy!

Staropolskim dziś zwyczajem,
Kończymy do Was pisanie,
Panu Bogu Was oddajem
Niech z Wami zawsza zostanie!

Lwów dnia 1. Stycznia 1871.

Wesele włościańskie w Dąbrowej

pod Nowym Sączem.

Jak się to przed niedawnym czasem mieli ludzie wiejscy w niektórych stronach naszego kraju i jakie wyprawiali sobie uciechy, może posłużyć za dowód niezmyślony opis wesela włościańskiego we wsi Dąbrowej pod Nowym Sączem. Żyją jeszcze ludzie, którzy byli na tem weselu, to też i potwierdzić mogą.

Było to pod jesień 1851 roku. Wójt z Dąbrowej wydawał szesnastoletnią córkę za syna wójta z Kurowa, ośmnaście lat liczącego młodziana. Ojciec panny młodej, człowiek zamożny a przytem powszechnie poważany, zaprosił na to wesele całe sąsiedztwo. A nie byli tam sami tylko wiejscy ludzie, ale hrabiowie, szlachta, zamożniejsi oficjaliści dworscy i urzędnicy z poblizkiego Sącza. Jakkolwiek miał obszerne domostwo, bał się jednak — czy w niem pomieści dostatecznie gości, a więc przybudował umyślnie w tym celu ogromną izbę.

Przed weselem codzień u wójta krzątaniny wiele, bo przygotowania były wielkie. Na cztery tygodnie już naprzód zamówiła sobie wójtowa w całej okolicy sery i masło, które ubijając w beczki, gromadziła w swojej spiżarni, by je potem użyć do pieczywa kołaczy. Mnóstwo serów i kiełbas wędziło się w kominie; na chleb i kołacze poszła mąka z pięciu korców przenicy i czterech żyta; w kojcach tuczono gęsi, indyki, kapłony i kaczki, jednem słowem drób, jakiego tylko jesień dostarczyć mogła, a przytem nie brakło i dziczyzny, jak: zajęcy, sarn, kuropatw, czego w tamtych stronach bywa podostatkiem; znalazły się i ryby a nawet łososie, które się tam w rzece Dunajcu wyławiają. Prócz tego nie zapomniano i o ciastach i cukrach, a wina dobrego, piwa, starego miodu nakupił wójt co niemiara, aby nie narzekano na piwnicę.

Kiedy wszystkie zapasy już były przygotowane, starano się o osoby, które były potrzebne do obrzędu weselnego. Jakoż wybrano do tej uroczystości aż 26 starostów i tyleż starościn, 24 drużbów i tyleż druchen, a osób nie posiadających żadnych godności weselnych było o wiele więcej niż dopiero wymienio-

nych nie wliczając w to osób z wyższego stanu. I pomyśli sobie niejeden: cóż tam z tego, kiedy na weselu byli tylko sami zamożniejsi a o biedakach zapomniano! Oj nie było tak zupełnie! Obszerną piekarnię przeznaczono właśnie na ugoszczenie ubogich ludzi; każdy ubogi miał tam wstęp wolny, choć nie był proszony.

Gdy się zeszli wszyscy zaproszeni włościanie na czas oznaczony, wtedy męczczyźni pod przewodnictwem starszego drużby dosiedli koni, a jadąc parami, tworzyli spory orszak. Za nimi postępowały wozy z kobietami. Ej, było też to na co patrzeć! Takiego wesela nie było tam jeszcze nigdy i kto wie, czy będzie kiedy? Kto zna dokładnie tamte strony i wie gdzie leżą Wielogłowy, to jest parafja, łatwo sobie wyobrazi ilość weselnych osób, gdy się zastanowi nad odległością parafji od dworu we wsi Dąbrowej. Męczczyźni byli już wszyscy przed plebanją; pierwszy wóz z kobietami tuż przy jej bramie, a ostatni jeszcze pode dworem. Na czele orszaku jezdnych dowodził starszy drużba z rószczką weselną. Był on dosyć śmiesznie ubrany. Opasał się powrósłem, miał przy boku drewnianą szablę, a na głowie niby stosowany kapelusz z kitą piór koguciych. Za nim jechał pan młody w żupanie granatowym, podbitym czerwonem suknem, w pasie guziczkami gęsto wybijanym; pod szyją czerwieniła się mu duża koralowa spinka; na prawem ramieniu przypiętą miał krótką burkę, na głowie mały, czarny kapelusik, dwa razy guziczkami mosiężnemi ozdobiony.

W takiem junackiem ubraniu jechał każdy następny drużba lub starosta. Przepych w stroju kobiet był nadzwyczajny. Na pierwszym wozie jechała panna młoda i starościna. Panna młoda miała niebieską jasną spodnicę z ciężkiej materji, tkanej złotem-ponsowy, aksamitny gorset, z cieniutkiego płótna pięknie haftowaną koszulę, po której spadało kilka sznurów korali, nie przesadnej wielkości, zawieszonych na szyi; na głowie miała rozmarynowy wianek, z pod którego spływał dostatni warkocz zapleciony piękną wstążką, tegoż co i spodnica koloru; fartuch haftowany spadał prawie równo ze spodnicą. Zaodziana była chustką jedwabną w kwiaty koloru jasno modrego. Druchny miały strój podobny, z tą różnicą, że nie miały złotem tkanych spodnic,

ale za to fartuchy blaszkami naszywane. Mężatki wszystkie prawie w złotych czapkach, w spodnicach z ciężkiej, czystej lub tkanej złotem materyi, odziane w bogate chustki. Uboższego stroju nad muszlinowy, tiulowy nie było. Mniej zamożne gospodynie miały spodnice z tybetu lub innej drogiej wełnianej materji. Cały ten strój w różnobarwnych kolorach dowodził zamożności tamtejszych włościan, którzy przytem w wstrzemięźliwości mogą być innym prawdziwym przykładem. To też nie dziw, gdy i dzisiaj niejednego gospodarza kieszeń pełna i długów nie zna. Ziemia tam dobra i lud także taki, a więc biedy być nie może.

Ale wróćmy do swojego. W rzęsiście oświeconym kościele odbyła się ceremonija ślubna jak zwykle, poczem w jakim porządku przybyto do kościoła, w takim wracano na wójtostwo.

Dopieroż to tam ruchu i wesołości! Koło wieczora zaczęły się zjeżdżać osoby z wyższego stanu. Przed bramą zabudowań gospodarskich stał stróż, który donosił o każdym przybywającym gościu, a za danym znakiem wychodziła wyborna muzyka na przeciw niemu, a gospodarz z całą serdecznością i uprzejmością przyjmował gościa na podwórzu, poczem prowadził go do osobnej izby, oddzielnej od tej, w której się odbywało wesele. Raczył on chojnie jadłem i napojem, w czem mu sprowadzona z miasta kucharka i gospodyni dopomagały — zajmując się urządzaniem potraw i ich rozdawaniem. Gospodarz umiał wszystkich ubawić i pogodzić jedno z drugiem. Bawił trochę z państwem, trochę z włościanami, a wszędzie doglądał starannie, aby jedzono i pito, mieniąc sobie za wielką krzywdę, gdy się kto wymawiał od czego. Niektóre osoby z państwa weszły potem do izby, w której bawili się włościanie. Rozdawano właśnie według tamecznego zwyczaju przed wieczerzą wędzony ser, w kostki pokrajany, orzechy włoskie i laskowe, oraz rodzaj ciasta w kształcie pierożków, obsypankami zwanych. Potem dopiero obnoszono mięsiwa różnego rodzaju oraz napoje. Od najstarszego do najmłodszego nie zapomniano o nikim, a i ubodzy byli suto obdarzani, że nikt nie mógł się uskarżać o niepamięć. Każdego, proszonego i nieproszonego raczono obficie, a nie zabrakło tam ani jadła ani picia.

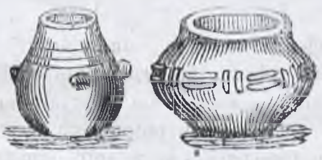
Wesele trwało cały tydzień. Po weselu każde z państwa młodych zostało przy swych rodzicach według umowy przedślubnej przez dwa lata.

Wójt z Dąbrowej urządził dla swej córki piękne mieszkanie i zapewnie pięknem obdarzył ją wianem, stósownie do wyprawionego wesela.

Takie to było wesele w Dąbrowej, bo rodziców państwa młodych stać było na to. *Józef z Bochni.*

Popielnice.

Rolnik pracowity wyjechał z pługiem w pole. W Imię Boże wziął się do pracy i orze i przewraca rolę — pot leje się z czoła, a on nie ustaje, tylko dalej a dalej. Czasem zawadzi o kość spróchniałą, czasem zgrzytnie pług o stare żelaziwo lub kulę — rolnik je dobywa z ziemi, ogląda na wszystkie strony,



poduma chwilę, boć to jego ojcowie na tem polu walczyli z poganami i znów zacina koniki. Niekiedy, osobliwie na równinach napotyka skorupy i całe garnki. Chciwie wydobywa je z ziemi i zagląda do środka, myśli że tam znajdzie pieniądze. Tymczasem w środku nie ma skarbów, a rolnik zawiedziony rzuca garnek o ziemię i tłucze i dziwi się zkąd ludziom przyszło do głowy tyle rupieci zakopywać w ziemię.

Oj dawne to już czasy, kiedy te garnki tutaj zakopano. Przed tysiącem lat ojcowie nasi nie byli jeszcze chrześcijanami. Wierzyli w rozmaite bogi, a lepili je sobie z gliny lub ciesali z drzewa. Byli poczciwi i pracowici i bardzo kochali swoich bogów, choć przytem mieli swoje pogańskie zabobony i zwyczaje. Umarłych nie chowali w ziemi jak my, ale układali stos drzewa, a na tym stosie kładli ciało umarłego i podpalali. Stos płonął iskrzącym ogniem, płaczki najęte płakały, kapłani pogańscy odprawowali swoje obrządki a kiedy się ostatnia spaliła głownia, zbierali popioły nieboszczyka i chowali je do owego garnka co się nazywał popielnicą, w mniejsze garnki

zbierali łzy wylane i wszystko zanosili na cmentarz czyli jak nazywali „Żalisko“ lub „Uroczysko“ i zakopywali w ziemię. I stąd to czasami napotykamy tyle popielnic na jednem miejscu. Lecz nie trzeba je tłuc lub poniewierać, boć w nich złożone popioły naszych ojców, ale zebrać starannie i odesłać do miasta Krakowa lub Lwowa, bo tam są tacy uczeni ludzie, co to zbierają stare pamiątki z dawnych czasów, to oni wam za to podziękują, a może i zapłacą. Gdyby ktoś znalazł taką ładną pamiątkę może dać znać do Krakowa a na liście niech wypisze:

Do komisyi archeologicznej towarzystwa naukowego w Krakowie.

A gdyby mu się tak daleko pisać nie chciało może zanieść tę pamiątkę do dworu lub do księdza proboszcza.

Tak to taka skorupa przypomina nam stare dzieje i dawno ubiegłe czasy i pięknie o takim cmentarzu czyli jak się ono zwało Żalisku pisze nasz poeta Wicenty Pol:

ŻALE.

Już to ubiegło gdzieś lat tysiąc blisko,
A jeszcze świadczy pogańskie Żalisko,
Owym to dziejom z tamtej strony krzyża
I z trwogą serce do Żalów się zbliża;
Bo i tu ponoś świat serdecznie bolał
I bardzo kochał — to co łzami polał...
Na wierzchu ziemi ileż tutaj wrzawy?
A tam pod ziemią jakaż cisza głucha.
Bo cała praca żywota i ducha
Składa spokojnie wszystkie swoje sprawy
Po wielkiej wrzawie w małą popielnicę,
I stawia przy niej na straży łzawnicę...

A przecież w małej popielnicy leży
Wszystko zebrane na króciutkiej wici
Czem człowiek stoi, co kocha, w co wierzy,
I czem się jeszcze u potomnych szczyci.
Bo popioł zacnych i krew serc ognistych
I zbroja dzielnych i ofiary czystych
I stare Żale — o to księga stara!
A choć nie bardzo czytelna ta księga
Lecz że człek tutaj przez łzawnicę sięga
Po przeszłe dzieje, więc wszystkiemu wiara
Co popielnica od wieków tu chowa
I wszystko świadczy prócz ducha i słowa

Na starych cmentarzach ziarno porasta, i tylko popielnica świadczy, że tu niegdyś ludzie się cieszyli i smucili. I nas kiedyś nie będzie i iny zginiemy, ale nie zginą nasze dobre uczynki i uczciwa sława.

Telegraf.

Opowiadanie Macieja.

Maciej był bardzo porządnym i zamożnym gospodarzem. Za młodu dużo bywał po świecie, to też temu i owemu dobrze

się przypatrzył, i nie jedno widział co i jak się w świecie Bożym dzieje Bywa po radę, to jak po święconę wodę każdy do Macieja pieszy, — bo już to on doświadczony, a uczynny i serdeczny dla każdego, aż miło. Każdemu radby radą czy groszem czy w inny sposób dopomódz, — każdego radby oświecić i pouczyć. Jak zacznie czasem opowiadać o obcych krajach, o różnych wynalazkach ludzkiego rozumu, które albo sam oglądał, albo gdzie w mądrej książce o nich wyczytał, to człowieku całą noc ę byś słuchał, ani by ci się sprzykrzyło.

Minionego roku zaszedłem i ja po długiem nie widzeniu do chaty Macieja. A dobrzem trafił jak wraz, bo w sam dzień, gdy Maciej sprawiał srebrne weselisko. Mój Boże! dwadzieścia pięć lat przeżył ze żoną jakby jeden dzień! — najmniejszego swaru ani kłótni nigdy między nimi nie było, — co najstarsi gospodarze niepamiętają tak przykładnego i zgodnego małżeństwa. To też Bóg dobry dał im w spokoju i dostatkach doczekać tego dnia.

Po nabożeństwie w kościele zaprosił Maciej wszystkich znajomych gospodarzy do swojej chaty. Wszyscy od serca radowali się i życzyli Maciejowi i żonie jego, że mu Bóg dał doczekać tak szczęśliwej chwili. Wśród wesołej pogadanki spożywali dary boże, które Maciej przed niemi zastawił. Żałowali tylko wszyscy, że niema syna Macieja, który od dwóch lat przy wojsku gdzieś w dalekich krajach między obcymi się błąkać musi, i nie może się w tym dniu z rodzicami wspólnie radować.

Gdy tak gawędzą i rozprawiają, wpada posłaniec na koniu w podwórzec. Zatrąbił na trąbce, i woła:

— Czy tu mieszka Maciej Sliwiński?

— Tutaj, tutaj, odpowiedzieli gospodarze, co z świetlicy wylecieli przez ciekawość, — a co tam, czy z urzędu?

— Nie, z telegrafu list przywożę...

Na to niektórzy gospodarze straszne porobili oczy, i patrzyli w podziwieniu to na posłańca, to na Macieja, to znowu na ten list w różowy papier owinięty. Słyszeli wprawdzie niektòrzy, że to tymi drutami, co przy gościńcu idą, ludzie się rozmawiają i wiadomości przesyłają, ale jak to idzie nie

wiedzieli i takiego listu, co go to telegramem nazywają, na oczy nie widzieli. Sam Maciej nie zdziwił się, ale myślał chwilę, ktoby to do niego pisał, czy nie zła jaka wieść może? Drżącą ręką otworzył list ten, i zaczął czytać... za chwilę rozradował się bardzo, i odczytał głośno wszystkim zgromadzonym;



Wnętrze urzędu telegraficznego.

„Kochani rodzice! Nie mogę być razem zwami i razem się cieszyć w dniu dzisiejszym. Zasyłam wam przeto moje synowskie uszanowanie i gorące życzenia. Daj Boże długie wam lata i powodzenie. Kochający syn Antoni.“

„Tryest 20 grudnia 10 godz. rano.“

Na te ostatnie słowa powstał gwar między słuchającymi; ten i ów kiwał głową, i pośmiechiwał się, inny szeptał sąsiadowi do ucha, że jak to być może, aby ktoś w Tryeście list pisał, i tego samego dnia ten list przyszedł. Szymek, co to za młodych lat we wojsku służył, nie mógł już wytrzymać, i odezwał się:

— A niech by tam ten telegraf, jak go nazywają, to jakżeby tak prędko list mógł polecieć? Wszak za młodu byłem w Tryeście z wojskiem podczas wojny we Włoszech, ta to prawie dwieście mil do tego Tryestu. Wtenczas koleji żelaznej nie było, tośmy długo jechali i maszerowali do tego miasta. Teraz koleje są, to prędzej, ale zawsze nie uwierzę, żeby tym telegrafem list tego samego dnia mógł dojechać. Chyba, że się wasz syn pomylił i inny dzień napisał.

— A choćby się i pomylił, powiedział znowu Kuba, ja zawsze tego zrozumieć nie mogę. Nieraz bywało stoję przy gościńcu, i patrzę na te głupie słupy z drutami, i mało sobie oczu nie wypatrzę, alem nigdy nie widział, aby jaki list leciał po tych drutach. Czasem tylko słyszałem, że coś po nich szumi i brzęczy, aż nie miło się robi. Człowiek myśli, czy to nie jaka zaczarowana sztuka...

— Ot plecie, plecie, odrzekł stary Maciej, — ten szum to wiatr tylko, co po drutach świszcze. Jak powietrze cichc, to druty cichc, i nie brzęczą; wam się zawsze czary tam marzą, gdzie czego nie rozumiecie, a to sztuka ludzka i przemysł dowcipny.

— Już to wy wszystko od nas lepiej rozumiecie Macieju to możebyście i nas oświecili, i powiedzieli nam, co to ten telegraf, i jakto nim listy posyłać.

Wszyscy obecni przyłożyli się do tej prożby, a stary jakoś zadowolony, że może kogoś oświecić, tak począł prawić.

— Dawno to już temu bardzo, jak ludzie poczęli przemyśliwać, w jakiby to sposób w nagłej potrzebie prędko się można porozumiewać. Nieraz nieprzyjaciel wpadł do kraju, trza prędzej pomocy, trza się rychło zebrać, zgromadzić i bronić, a tu ani rusz, bo każdy gdzieindziej, bo jeden od drugiego daleko mieszka. Zapalali więc na wysokich pagórkach ognie; jak strażnik na jednym pagórku zobaczył ogień, zaraz u siebie zapalał, od niego dostrzegł ogień trzeci, dalej czwarty i w ten sposób prędko szła wiadomość o niebezpieczeństwie. Ale to tylko w nocy było dobre i na nie bardzo dalekie oddalenia. Zaczęto więc na tych pagórkach wystawiać znaki różne inne,

które i w dzień mogły być widziane. Zawsze sposób ten był bardzo nie dokładnym, to też go wnet i zarzucono.

I długi czas niebyło sposobu lepszego do prędkiego udzielania sobie wiadomości. Aż wreszcie odkryto siłę, co to „elektryką“ się nazywa i zastosowano ją do wielu pożytecznych rzeczy, a szczególniej do telegrafu. Tu wam muszę powiedzieć co to jest ta elektryka. Jest to siła tak dobra, jak każda inna, widzieć jej nie można, bo przecie żadnej siły nie widno. Jeżeli kto z was uderzy ręką w stół, że aż stół jęknie i echo pójdzie, toście widzieli tylko rękę i stół, a nic więcej. Słyszeliście odgłos, zresztą stół mógł się ruszyć, ale siły nie widzieliście. Widzieliście tylko działanie, czyli objaw tej siły. Otóż tak samo i z tą elektryką. Pokażę wam to bliżej.

Tu wyjął Maciej z kieszeni kawałek papieru, podarł go na drobne kawałeczki i rozrzucił te kawałki po stole. Obecni patrzali ciekawie, co z tego będzie. Maciej poszedł tymczasem do skrzyni, wydobył kawałek laku, potarł o rękaw od sukmany, i potrzymał nad kawałeczkiem papieru. Natychmiast papierek podniósł się ze stołu i przyleciał do laku. Maciej powtórzył to kilka razy, i zawsze papierki leciały do laku. Wszyscy zdziwili się mocno, a Maciej tak dalej prawił:

— Otóż widzicie: przez to, żem lak o sukno potarł, rozbudziła się w tym laku siła przyciągania papierków i innych lekkich rzeczy. Ta siła jest tak zwaną elektryką. Nie widzieliście tej siły, tylko widzieliście objaw jej, to jest jak papierki do laku leciały. Tak samo, na większy rozmiar i daleko mocniej działa ta siła, czyli elektryka, jeżeli się ją we większych masach rozbudzi. Jest ona i drzymie niejako wszędzie, we wszystkich rzeczach, nie tylko w laku; w jednych rzeczach jest jej mniej, w drugich więcej — jest ona w kamieniach, metalach, we wodzie, w powietrzu, w chmurach, ogółem wszędzie; — trza tylko zewnętrznych przyczyn, aby ją obudzić. Tu na przykład, obudziłem tę siłę, przez potarcie laku o sukno — gdzieindziej ona w różne sposoby się budzi i działa. W chmurach gromadzi się ta siła, a wynikiem jej jest piorun, błyskawica i grzmoty. Tak jak tutaj przebiegła ta siła między lakiem a papierkiem. tak samo przebiega ona od chmury do chmury, i w tenczas

macie grzmot i błyskawicę, i zwielką siłą i trzaskiem uderza w dom, w kościół, w drzewo i t. p. a w tenczas nazywamy to piorunem. Widzicie błyśnięcie, słyszycie grzmot, a tu już drzewo leży strzaskane, albo zapalone — widzicie więc objaw, ale siły nie widzieliście. Ona działa wprost, leci z miejsca na miejsce — Ta niewidzialna droga jej nazywa się prądem. Otóż tak samo jak ona przez powietrze leci, starali się mądrzy ludzie zmusić tę siłę, aby szła podług nakazanej jej drogi. Doszli tego, że siła ta ma większy wpływ na metale, np. żelazo, srebro, miedź, i t. d. niż na inne rzeczy; doszli, że prędzej piorun uderza w żelazo, niż w drzewo (dlatego stawiają gromochrony ze żelaza), doszli ostatecznie, że druty z żelaza albo miedzi tę siłę bardzo daleko mogą przeprowadzać, tak że ona bokiem nie pójdzie, tylko w prostej linii, równo z drutem. Wynaleźli dalej sposób wytwarzania tej elektryki w wielkiej ilości, wynaleźli tak zwane „baterye elektryczne“ to jest przyrządy, gdzie przez połączenie się miedzi, cynku i różnych kwasów wielka ilość elektryki się wytwarza. Zaczęli robić różne próby. Pokazało się, że siła elektryczna puszczona przez drut ma własność przyciągać żelazo, z tego wpadli ludzie na pomysł telegrafu. Postawili w jednem miejscu np. we Lwowie bateryę elektryczną i połączyli ją przez druty aż z Krakowem. Tam w Krakowie, gdzie się drut ze Lwowa idący kończy, nadstawili aparat mały z młoteczkiem żelaznym. Ten młoteczek ma z jednej strony cwioczek, który leży na wązkim wciąż się posuwającym pasku z papieru. Otóż urzędnik ze Lwowa puszcza prąd siły elektrycznej na chwilę, — w tym momencie siła przelatuje cały drut od Lwowa do Krakowa, i przyciąga żelazny młoteczek, — młoteczek uderza cwioczkiem o ten pasek papieru i robi punkcik to jest kropkę, albo linijkę małą, dalej znowu kropkę albo linijkę itd. zupełnie podług woli urzędnika. Z tych to linijek i kropek ułożyli sobie całe abecadło i w ten sposób sobie piszą. Nie ma tam liter takich jak nasze drukowane, ale same tylko kropki i linijki, i to dla nich jest zrozumiałe.

Tu narysował Maciej na stole kredą i pokazał obecnym dla przykładu: . . — — — . . . . — — — . . . — —

Otóż tak wygląda to pismo. Jak kto z was chce przesłać komu wiadomość, to idzie do miasteczka do urzędnika, zapłaci co się należy, i napisze albo podyktuje urzędnikowi, a ten tymi kropkami i linijkami już dostatecznie drugiego urzędnika uwiadomi, który tę wiadomość odpisze naszem pismem i poszle komu należy. Tak moi kochani przyjaciele, rozum ludzki i przemysł góruje nad wszystkiem, i to czyni, co się nam niepodobnem wydaje.

Jakoś porozumieli to wszyscy, a Szymek odezwał się:

— Dziękujemy wam serdecznie Macieju za waszą naukę, możebyście i uprosili kiedy pana urzędnika, żeby nam pokazał przy sposobności i wolnej chwili to urządzenie. Tym czasem Bóg wam zapłać, już teraz człowiek przecie pojął, że to nie czary, tylko rozum i nauka.

Długo jeszcze siedzieli wszyscy w chacie Macieja, bawili się wesoło i gawędzili. A ja co usłyszałem to i wam na wasz pożytek i naukę opowiedziałem.

Stach ze Lwowa.

Wawrzyniec Gębicki.

W przysłowiach mieści się sama mądrość, bo w nich wiedza i doświadczenie narodu, a składały się na nie całe długie wieki. A jedno przysłowie mówi: *Bez pracy, nie będzie kołaczy.* Oj prawda to święta, bo bez pracy nie doprowadzi człowiek do niczego dobrego, a jeżli się jej chwyci, może być pewien, że pomimo przeszkód dojdzie do tego, że sam będzie miał zadosyć i drugim może dopomagać. Żywot Wawrzyńca Ggbickiego może nas pouczyć o tej prawdzie, a więc posłuchajmy!

W obwodzie Sandomirskim w osadzie Wójtowskiej, Kowalszczyzną zwanej, mieszkał z początkiem bieżącego wieku ubogi kowal, który rodzinę swoję utrzymywał ze swych pięciu palców i żył sobie cicho i spokojnie. Miał syna Wawrzyńca, ciekawego chłopca, który przypatrywał się robotom ojca i pomagał mu czasem, gdy więcej miał roboty. Ojciec nie wziął go na prawdę do roboty, bo był jeszcze słaby a do szkół nie było go za co posyłać. Aż tu 1809 roku napada wojsko

austryackie na Sandomierz i dowódzca kanonierów zabiera ojca i syna i każe im przy bateryi wykonywać roboty kowalskie. Ojciec jak ojciec pracował ile sił starczyło, ale Wawrzuś ustawał w pracy przy wielkim młocie. Przyszła jeszcze gorsza chwila, bo w dniu 18 czerwca tego samego roku, kiedy wojsko napadło na Sandomierz, odłamek kartacza śmiertelnie ugodził ojca, coteż przypłacił życiem. Dla Wawrzusia była teraz dola jeszcze dokuczliwszą. Przy ojcu spychał jak mógł robotę, teraz wypadłomu robić za ojca, a do tego z przymusu i prawie darmo. Miał on wtenczas lat szesnaście. Nie mogąc podołać ciężkiej pracy, rozmyślał o ucieczce. Jakoż jednej nocy udało się mu umknąć z obozu. Strwożony i drzacy bez ustanku szedł i szedł dniem i nocą, aż przecie zaszedł do Grojca a ztąd do Warszawy. Ogołocony ze wszystkiego umyślił sobie, że jedynie w pracy może szukać przytułku, aby nie zginąć marnie na tym świecie.

Idzie tedy do jednego kowala i mówi:

— Panie! jestem synem kowala, znam się trochę na tem rzemiośle, przyjmij mię proszę do tej pracy a ja sobie zarobię na ten kawałek chleba, którym mię żywić będziesz.

Kowal przysłał na to i rzecze:

— Przyjmę cię, mój chłopcze, ale praca u mnie ciężką, kto wie czy wytrzymasz. Zostań na próbę!...

Wawrzuś myślał, że pokona trudnoćci i da rady ciężkiemu młotowi, został więc wedle woli kowala.

Ależ miły Boże! do takiej pracy trzebaby lwiej siły, nie siły biednego Wawrzusia! Pracowało to przecie niebożę po całych dniach i nocach, chciał się przyzwyczaić, zachorował jednak ciężko, majster nie chciał go trzymać i oddał go do szpitala. Wawrzuś modlił się ustawicznie o zdrowie i siły i o to, aby mógł uczciwie pracować u ludzi. Wyzdrowiał przecie. Ale cóż z tego, kiedy był goły jak turecki święty! Idzie znowu do tego samego majstra, u którego pracował poprzednio i przyrzeka, że będzie u niego o rok pracował dłużej, byleby go tylko przyjął, nakarmił i okrył ciepłemi łachmanami, bo zimno było dokuczliwe i śnieg wielki. Majster odpowiedział ua to, że go przyjąć nie może, boby znowu zachorował, kiedy nie ma siły i zdrowia do takiego rzemiosła.

Srogi żal i rozpacz ogarnęła młodego Wawrzyńca Idzie do komisji asenterunkowej i w imię Boże zaciąga się do wojska, myśląc, że może kiedyindziej uda się mu zapracować na kawałek chleba. Tkwiło w nim ustawicznie to przekonanie, że pracą dorobić się musi lepszego stanowiska.

Odbył kilka kampanij za Napolena I. a tak się wsławiał męztwem i dzielnością, że go ozdobiono krzyżem legii honorowej. W 1815 roku podczas bitwy pod Waterloo ciężko raniony dostał się do niewoli angielskiej. Zdawałoby się, że to wyjdzie na jego nieszczęście, ale dziwnie to i różnemi drogami prowadzi człowieka Opatrzność Boża! Jak wiemy, Wawrzyniec ciągle miał w myśli pracę, a kto tak postępuje, powinien się spodziewać lep‑zej przyszłości. To też Wawrzyniec wyleczywszy się z ran odniesionych, udał się do Londynu, stolicy Anglii, i tam jako prosty robotnik pracował po różnych fabrykach. Złożywszy sobie przy wielkiej oszczędności trochę grosza, puścił się do innego miasta angielskiego i dostał się do zakładów mechanicznych, bo się koniecznie chciał wydoskonalić w jakim zawodzie, a pracując był pewnym, że nie zginie, chociaż w tak dalekim kraju. Umiejąc kowalstwo, poświęcił się nożownictwu i wyrabiał nie tylko noże, nożyczki, ale wszelkie instrumenta, jakich potrzebują lekarz i inni uczeni ludzie do różnych potrzeb. I wydoskonalił się co się zowie!

Przypomniał sobie o ojczystej ziemi, chciał się puścić do niej i pracować uczciwie dla swoich rodaków, ale nie miał na tyle pieniędzy. I z tem byłby sobie poradził, gdyby nie przyjaciele rodacy, którzy go namówili, aby z nimi popłynął do Ameryki. Dał się nakłonić i popłynął tam 1824 roku. Przybył z nimi do największego miasta w północnej Ameryce, które się zwie Nowy Jork. Na podróż wydał wszystkie zasoby; kieszenie puste a na grzbiecie nędzne łachmany. Była to wina jego towarzyszy, ale praca znowu stanęła mu w myśli. Nie tak to jednak łatwo o miejsce dla obcego człeka w Ameryce! To też Wawrzyniec o chłodzie i głodzie błąkał się kilka tygodni zanim dostał robotę u pewnego fabrykanta nożownika. Pracował u niego lat sześć i tak mu wydoskonalił jego czeladników i robotników, że ten, w dowód zasługi, starań i trudów

przypuścił go do spółki. Można sobie wyobrazić jaka zmiana zaszła we wszystkiem u Wawrzyńca! Stanął na nogi, żył sobie wygodnie ale oszczędnie; aby nie być bez grosza na czas nieprzewidzianych potrzeb W 1832 roku umarł jego przyncypał i spólnik, Wawrzyniec robi układ z wdową, spadkobiercami, bierze fabrykę na siebie i żeni się z pozostałą córką spólnika i swojego pana.

Pracował, co się zowie, rzetelnie, dochody miał piękne, fabryka kwitnęła coraz większym wzrostem, lecz im więcej posiadał Wawrzyniec, tem był dobroczynniejszym. Stał się prawdziwym opiekunem przybyłych Polaków do dalekiej, obcej ziemi, ułatwiał im sprawunki i zabiegi, przyjmował ich do swojego zakładu, a nawet urządzał im warsztaty, wspierał pieniądzmi, odziewał, karmił, słowem o wszystko się troszczył coby mogło ulżyć i polepszyć byt na obcej ziemi.

A starając się szczerze o dobro dziatek swoich i swoich krewnych, założył w swoim domu ochronę i szkółkę. Cieszył się tem niewypowiedzianie i mawiał nieraz:

— Boże! dziękuję Ci najgoręciej, że ja i drudzy mogą żyć owocami pracy mojej!...

Poważanie i szacunek miał wielki, to też lubo cudzoziemiec został 1849 roku członkiem kongresu Stanu Północnej Ameryki. Dobrodziej to był wielki nie tylko dla swoich i obcych, to też niezrównany żal owładnął serca wszystkich, którzy go znali, gdy na dniu 20 listopada 1853 zakończył piękne swe życie zastawiając nie wielki majątek, albowiem więcej rozdał między ubogich.

Tak prowadziła Opatrzność człowieka, który szukał pracy i przez nią sobie i drugim czynił dobrze. Nam nie potrzeba Ameryki, pracujmy mimo przeszkód z wytrwałością w każdym stanie, jaki zajmujemy, a nie tylko my sami, ale i drudzy będą się cieszyli owocami naszej pracy!

Józef z Bochni.

Rozmaitości.

— Akt dobroczynności. Między wszystkiemi darami dobroczynnemi, te najwięcej na pochwałę zasługują, które do podniesienia oświaty, do zachęcania w uczeniu się i rozbudzenia ochoty do nauki się przyczyniają. Otóż podać wam musimy piękny czyn dyrektora kolei lwowsko-krakowskiej. Dyrektor ten pan Herz znanym jest ze swej dobroczynności, licznemi datkami wspomaga on ubogich, zapomaga urzędników kolei i służbę. Prócz tego od wielu lat udziela bogate dary szkole istniejącej na dworcu kolei we Lwowie. Podarunki te przeznaczone są nietylko dla nauczycieli tej szkoły, aby z tem większą gorliwością swoim obowiązkom się poświęcali, lecz także i dla uczniów i uczennic. W tegoroczną wilję Bożego narodzenia zgromadziły się wszystkie dzieci uczęszczające do tej szkoły w południe, i tu rozdano im w obecności zaproszonych gości podarunki pana Herza umieszczone na pięknem drzewku. Wszystkie dziewczęta i chłopcy otrzymali nowe ubranie, a oprócz tego książki i inne pożyteczne rzeczy. Nauczyciele otrzymali podarunki pieniężne.

Był to widok rozrzewniający, gdy dzieci ogromnie uradowane wychodziły ze szkoły wynosząc ze sobą piękne podarunki. Przy wychodzeniu upomniano dzieci, aby pilnością i nauką starały się okazać godnemi tej szczodrobliwości ich dobroczyńcy. Koszta podarunków wynosiły 1000 zł.

Złote ziarna.

Lepiej jest mniejszę liczbę chudoby należycie wyżywić niż wielkie mnóstwo nędznie utrzymywać.

Cnotliwy człowiek ma litość, dla tego zlituje się nad zwierzęciem cierpiącem.

Od Redakcji.

Do numeru przyszłego załączonym będzie, Dodatek treści politycznej, który odtąd co dwa tygodnie razem z Dzwónkiem wydawać będziemy.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.